

POWIEŚĆ: NOWELA

Rok XIX

Warszawa, dnia 26 Listopada 1927 roku

Nr. 48

ANDRZEJ STRUG

11) UCZTA ZWYCIĘSTWA

Puzo znowu zapomniał o Polsce i srogim basem zatębił „Tichyj Don”... — szeroką, jak ziemia ruska, pieśń kozaczą. Natychmiast wsparł go baryton rotmistrza Zaryckiego, a po dłuższej chwili do następnej zwrotki włączył się z pod stołu tęskny, przedęty tenorek i nieomylnym tonem skoordynował śpiewaków. Puzo sprawnie przeszedł na wtór i zakończył zwrotkę wspaniałą oktawą. W tejże chwili dwaj lotnicy w sąsiedniej izbie objęli inicjatywę buntu.

— Panowie, niepodobna ścierpieć...

— Koledzy! Dajmy wyraz...

Czuwający nad wszystkim adjutant Braun łagodził wybuch patriotyzmu wielkopolskich młodzieńców. Ale gdy rozległo się tęskne, przejmujące wołanie „zapiewały” z pod stołu:

„W zwiędnuju noocz... Nad riekoi mnogooowodnoj...

Lotnicy, trzej z Dak'u i jeszcze ktoś, szybko porozumiawszy się oczami, zaskrzeczel, zawrzeszczeli jeden przez drugiego, bez taktu, bez ładu i składu:

— W towarzystwie weteranów —

Każdy zna tych panów,

Bo tam przy niedzieli

Jest zabawy wiele....

Bunt zajął już pół stołu. Adjutant rzucił się zamykać drzwi od głównej izby, ale drzwi były wyjęte. Stał w progu i własną pierśią bronił dostępu do honorowej izby niesfornym wrzaskom. Machał rękami i sam wrzeszczał. Rewolta ogarnęła już całą izbę. Wśród wrzawy wylazł na stół najbardziej dyscyplinowany oficer, najspokojniejszy skądinąd chłopaczynka, podporucznik Szumski i zapiszczał, zaintonował w niepamięć na nic natchnieniu:

— Każdy zna tych panów,

Moskiewskich bałwanów...

Szyby zadrżały od zachwyty i oklasków. Adjutant ściągnął ze stołu winowajcę. Pieśń o weteranach rozszczepiła się na pojedyncze nieskoordynowane zespoły i utonęła w ogłuszającym chaosie. Na to wzmógł się „Cichy Don” i potężniał z każdą chwilą, jak gdyby do chóru przybywały coraz to nowe rzesze. Jego świetnie zestrojony trójgłos wparł się w ordynarną wrzawę i rozganiał ją, deptał i gasił. Puzo dobył z siebie najgłębszego ryku zwierzęcego i grzmiał, jak buhaj. Podpułkownik Moldescul zasłonił sobie uszy, biesiadnicy honorowego stołu oniemieli z podziwu. Przywarowali skonfundowani polscy buntownicy. „Cichy Don” nie nadużywał swego zwycięstwa i wnet urwał. We względnej ciszy rozległ się odbrzusznym, dobrodusznym rechot zwycięzcy, zakończony decydującym, niejako urzędowym orzecze-

niem. Wypowiedziane to było basem, niedopuszczającym dyskusji.

— Kuda im, mlekososom!.. Dużo muzyki na białym świecie — wiadoma rzecz... A nie było i niema, jak ruska pieśń. Ot co!...

Na to trębacz na dworze uderzyli modną w tej epoce „Titinę”. Kilka par ujęło się za bary i zaczęło drygać nieprzytomnie w ciasnym przejściu między stołami, zawadzając w niemożliwy sposób obnoszeniu owoców, kawy i likierów. Adjutant Braun zmobilizował ordynansów i wypierał ten lunatyczny dancing ku sieni. Z sieni wytańcował ich na dwór. Do wnętrza buchnęły trąby, w zaduch izb wdarło się pędem mroźne powietrze.

* * *

O tej porze pijaństwo ogarnęło już i kuchnię. Kto chciał, wlaził ze dworu do rozpalonego wnętrza, pełnego smakowitych oparów, niezupełnie pustych rondli, stosów niedolizanych talerzy i poniewierających się wszędzie resztek, ochłapów i gnatów. Stary kuchmistrz Pijanowski cicho rzeźił i dogorywał z przemęczenia na tapczanie w kącie, pojony rumem wprost z butelki przez miłosiernego ułana. Co parę chwil chłopak przepijał do niego, a potem ostrożnie, pieczołowicie, jak matka, przechylał butelkę i trafiał mu bądź w usta, bądź w ucho. W tłoku przemykały się żarłoczne kundle, porywając bezczelnie, co się dało, lub ze łbami zanurzonemi w kotłach, znosiły kopanie i tłuczenie, skomlać i wyjąć, a nie mogąc się oderwać. Baby i dzieci pożerały na miejscu ogryzki antrykotów, rybie łby, zaskrzepłe sosy z salaterek, częstowane przez wielkodusznego kaprała Szamuraja, przydzielonego do pilnowania porządku przed kuchnią. Do niedawna był nieubłagany urzędowy i na czele trzech szeregowców trzymał przybłędów w przyzwoitej odległości od kuchni. Teraz nasiąkł dobrocią i rozmiękł. Sam rozdawał dary boże zgłodniałej hołocie, pilnując kolei i porządku. Chłopom nalewał po pełnej szklance wódki, koniaku, wina, piwa, octu, oliwy, sięgając automatycznym ruchem poza siebie w ciemny kąt, gdzie stłoczone było mrowie butelek. Ujrząwszy przed sobą obcy cień ludzki, sinego jak trup głodomora, zapytał surowo:

— Kto taki?! Skąd?!

— To ja, swój, panyczu... Ja z Parfienowki...

— Z Parfienowki go tu przyniosło! Niema takich! Kto nie tutejszy — won! Zrozumiane?

— Sniłujšia panycz, wasze błagorodie — choć korku chleba — s gołodu pomirajem...

— Marsz!

— Pane jasno welmożnyj, chot' wodki kosuszku
...Pomiriat' bude lehcze...

— Dajże mu wódki, draniu jeden, nie widzisz, że już zdycha — wmieszał się ułan Kik, gotujący kawę „po turecku” w staro - niemieckiej „kochmaszynie”. Przed chwilą cicha i pokorna, małeńka babina ściągnęła mu z pod ręki puszkę z cukrem. Kik ostrożnie dosypywał teraz soli z brzozonej krobki.

— A tobie co?

— Po tyfie ja, nogi za soboj jele wołoku....

— Ale tuś to zaszedł?

— Zaszol, pane, zaszol...

Kapral Szamuraj spojrział surowo w zagasłe oczy nędzarza i wzruszył się nagle. O tej porze zalew dobroci pograżył go już fatalnie.

— Na, masz. Tylko pamiętaj ty sobie na drugi raz! Rozumiesz?

Chłop wyciągnął po szklanke obie ręce. Pił długo jednym tchem, nie odrywając ust. Pod koniec zakrztusił się i zaczął rzeźić chrapliwym, świszczącym oddechem.

— Kik, daj mu tam czem zakąsić, bo to chory!

Kik sypnął do kawy jeszcze jedną przygarstkę soli i wyjął z zapiecka zadekowaną tam sporą puszkę rollmopsów.

— Ile mu dać?

— Daj mu całą, niech go djabli wezmą. Jak częstować, to po naszemu. A ty znaj pana i wynos mi się, pókiś cały...

— Kik! Co z kawą?! Ile razy mam wołać?

— Jest, panie poruczniku!

— Co tu się dzieje? Poszli won! Szamuraj — po co was tu postawili? Na dwór z całym bałaganem! Wszystko porozkradają! Już!

Hołota runęła do drzwi. Porucznik Braun zatonął się na bok, chybnął się naprzód — ściana podje-

chała do niego sama. Wsparł się ciężko i bił pięścią w ścianę.

— Otwierać! Otwierać! Kto, u diabła, mnie tu zamknął?

— Panie poruczniku, drzwi są na lewo...

— Pytał się kto ciebie? Sam wiem, że na lewo...

Adjutant zmacał klamkę i wspomagany przez Szamuraję wytoczył się za drzwi. Za chwilę w kuchni już było pełniusienko.

Dyskusja międzynarodowa już zatraçała o kłótnię i gdyby francuz rozumiał był obelżywe sentencje Pupport do samego generała Weygand'a. Strony podzięza, wstałyby od stołu i udały się niezwłocznie do domu, do Taraszkiewicz, by tam zredagować odnośny raliły się w sposób paradoksalny. Tezy francuza popierał fanatycznie były przeciwnik z pod byłego Loos, były kapitan byłej V-ej armji byłego kronprinza Ruprechta bawarskiego, major w. p., który służył zarazem za tłumacza w historycznym sporze. Nacierał sam Puzo, podtrzymywany przez zastępcę szefa sztabu grupy, c. k. sztabowca, fachmana, podpułkownika Moldescula, który umiał na pamięć całą wojnę światową.

— Powiedz mu pan, niech on mi się tu nie stawia, bo właśnie jego parszywa republika piła żywą krew rosyjską i zgubiła Rosję, a teraz zdradziła Polskę i wydała ją bolszewikom! Powiedz mu pan, niech on to zamelduje samemu generału Foszu, czort by jego drał!

— Przepraszam pana pułkownika...

— Żadne przepraszam, tylko już! I powiedz mu pan, że nie śmie podły francuz urągać generału Samsonowu, tragicznemu żołdatu bez stracha i wyrzuta, bo on że Samsonow a nie kto inny zapłacił za cały ich cud nad Marną!

(D. c. n.).

JOSEPH CONRAD (KORZENIOWSKI)

PRZEŁOŻYŁA TERESA TATARKIEWICZOWA

2)

WSPÓLNIK

Zatrzymał się, by odetchnąć; zauważyłem wówczas, że jego ręka, spoczywająca dotychczas niedbale na stole, zacisnęła się powoli w pięść. Gest ten, wykonany przez człowieka, siedzącego bez najmniejszego poruszenia, był przerażający i złowróżbny, jak ów sławny gest Komandora.

— A więc już w owym czasie — niech pan zapamięta ten szczegół — już wówczas! — mrucał.

— Niech pan się chwilę zatrzyma — przerwałem — powiedziano mi, że Sagamore należał do firmy Mundy i Roggers?

— Ci durnie marynarze na niczem się nie znają — parsknął pogardliwie. — **Sagamore** używał tylko flagi tej firmy. To zupełnie co innego. Przez uprzejmość firmy. Oto jak się rzecz miała. Gdy stary Dunbar umarł, kapitan Harry dowodził już statkiem, należącym do firmy. George porzucił wtedy bank, w którym był urzędnikiem i na własną rękę rozpoczął interesy z tem, co mu pozostało po ojcu. George był obrotny. Zaczął od domu handlowego; potem wziął się do paru rzeczy naraz: do handlu

miazgą drzewną, przetworami owocowemi i tym podobnym. Kapitan Harry powierzył mu swoją część spadku dla powiększenia kapitału. „Wystarcza mi to, co dostaję jako komendant statku”. Lecz tymczasem Mundy i Roggers zaczęli powoli sprzedawać cudzoziemcom swe okręty, przerzucając się na parową żeglugę. Kapitan Harry bardzo się tem zmartwił: stracił stanowisko kapitana, rozstał się ze statkiem, do którego się przywiązał — istne nieszczęście. Właśnie w owej chwili bracia doszli do pieniędzy — jakaś stara baba umarła, czy coś w tym rodzaju. Niewielka to była suma. Wówczas George rzekł: „We dwóch mamy dość pieniędzy, aby za nie kupić Sagamore”. „Pewnie będziesz potrzebował tych pieniędzy dla twojego domu handlowego”, zawołał kapitan Harry, a tamten roześmiał się na te słowa i odparł: „Moje interesy stoją doskonale. Mogę pójść i zarobić garść dukatów, nim ty jedną fajkę wypalisz”. Mundy i Roggers bardzo byli dla nich uprzejmi: „Ależ naturalnie, kapitanie, jeżeli sobie życzysz, będziemy w dalszym ciągu odnosić się do okrętu, jak-

by należał jeszcze do nas". W tych warunkach, może pan sobie wyobrazić, jaką dobrą lokatą kapitału było to kupno statku. Doskonałą, jak na owe czasy!

Zwrócił zlekka głowę ku mnie. Ruch ten wykonany przez niego znaczył tyle, co najgwałtowniejsze objawy uczuć u każdego innego człowieka.

— Wszystko to, jak pan się zapewne domyśla, wydarzyło się dużo wcześniej, nim się Cloete ukazał — mruknął.

— Tak, rozumiem — rzekłem. — W takim wypadku piszemy zwykle: kilka lat upłynęło i w ten sposób załatwiamy się z niemi.

Przyglądał mi się przez chwilę tępym wzrokiem, jakgdyby zastanawiał się nad temi latami, nad którymi z taką łatwością przechodzi się do porządku dziennego; były i jego własnością, te lata, przed i po (tych nie było tak wiele) ukazaniu się Cloete'a na scenie. Gdy znów zaczął mówić, zdołałem wyczuć w jego sposobie opowiadania, ciemnym i obrazowym, chęć wykazania, jaki na George'a Dunbar'a miało wpływ jego długoletnie obcowanie z łatwymi zasadami moralności Cloete'a, z jego pozbawionym skrupułów a pełnym humoru darem perswazji (dziwny typ) i z lekkomyślnie awanturniczemi jego skłonnościami. Pragnął, abym ten punkt opracował specjalnie, uspokoiłem go więc, że czuję się na siłach to zrobić. Pragnął także, abym dobrze zrozumiał, że interesy George'a stały czasem lepiej, czasem gorzej. (Brat jego przez ten czas podróżował spokojnie po morzu!). W ciężkich bywał kłopotach, gdy interesy szły gorzej, bo ożenił się z młodą kobietką bardzo rozrzutną; często też miewał z tego powodu wielkie trudności finansowe. W takiej właśnie chwili Cloete spotkał na mieście człowieka, zajmującego się z dużym powodzeniem fabrykacją pewnego środka lekarskiego; potrzebował na reklamy sporego kapitału; kilkadziesiąt tysięcy wydane na ten cel przekształciłyby ten interes w istną kopalnię złota. Możliwość wzięcia udziału w przedsiębiorstwie, na którym się znał, podnieciła Cloete'a. Zrozumiałem, że wspólnik George'a palił się poprostu do tej jedynej sposobności zrobienia majątku.

— Codzień około jedenastej zjawiał się w pokoju George'a i zwracał mu głowę tą sprawą, aż George zgrzytał zębami z irytacji: „Przestać wreszcie. Poco namawiać? Niema pieniędzy. Wystarcza za ledwie na dalsze prowadzenie interesów, skąd wziąć tysiące na reklamy?" Nie odważyłby się nigdy zaproponować swemu bratu sprzedaży okrętu. Nie można było nawet pomyśleć o tem. Zamartwiłby się na śmierć. Byłby to dla niego koniec świata. I nigdy dla tego rodzaju... „Czy uważasz to za oszustwo?" zapytał go Cloete z drgającymi ustami. George przyznał, że nie jest to oszustwo. Byłby wierutnym osłem, gdyby tak myślał po tylu latach zajmowania się interesami.

Cloete spojrział na niego surowo. Nie myślał nigdy o *sprzedaży* statku. Prawdopodobnie za stary ten gręt uzyskałoby się teraz połowę jego asekuracyjnej wartości. George omal nie wyskoczył ze skóry. Co znaczyły w takim razie te głupie jego żarty na temat statku, które powtarzał od trzech tygodni. Dość już tego.

Pienił się poprostu ze złości. Cloete'a nie opuścił jednak spokój. „Ja także nie jestem osłem", odpowiedział bardzo powoli. „Nie chodzi tu o sprzedaż waszego starego *Sagamore'a*. Przeklęty ten gręt należy zdzielić tomahawkiem! (Podobno *Sagamore* oznacza imię wodza Indjan, czy coś w tym rodzaju.

Figura na przodzie okrętu wyobrażała nawpół nagiego Indjanina z piórem nad uchem i z siekierą za pasem). Zdzielić go tomahawkiem!" powtórzył.

„Co chcesz przez to powiedzieć?" zapytał George.

„Że trzeba statek zatopić. Można to zorganizować zupełnie bezpiecznie", ciągnął dalej Cloete. „Brat twój oddałby nam też swoją część asekuracji. Nie trzeba mu nawet mówić na co. Myśli, że jesteś do interesów najzdolniejszym z ludzi. Musisz dla niego zrobić majątek". George z wściekłości schwycił obu rękami za biurko. „Nie wyobrażaj sobie, aby mój brat był zdolny zatopić umyślnie swój statek. Nie ośmieliłbym się nawet pomyśleć o tem w pokoju, w którymby i on się znajdował — to najuczciwszy człowiek, jaki kiedykolwiek żył na świecie!" „Nie krzycz tak głośno, bo usłyszą cię na dworze", odparł mu na to Cloete. I przyznał mu, że brat jego jest wzorem wszelkich cnót, i że chodzi tylko o to, aby go namówić do pozostania na lądzie na przeciąg jednej podróży odbytej przez statek. Dla odpoczynku, czemu nie miałby się zgodzić. „Ja już nawet mam kogoś upatrzonego, kto nam się w tej sprawie przyda...", wyszeptał Cloete.

George dławił się poprostu ze złości. „A więc przypuszczasz, że ja należę do tego rodzaju ludzi... Myślisz, że ja jestem zdolny do tego? Za kogo mnie masz?" Stracił zupełnie głowę, podczas gdy Cloete zachował cały swój spokój, tyłka nozdrza mu trochę pobladły. „Za takiego, który wkrótce cienko zaśpiewa". Podeszedł do drzwi i wysłał urzędników — było ich tylko dwóch — na obiad. Powrócił. „Dlaczego się tak oburzyłeś na mnie? Czy zaproponowałem ci, abyś ograbił wdowę i sieroty? Człowieku! Lloyd, to przecież akcyjne towarzystwo; nikt z tej przyczyny nie umrze z głodu. Przynajmniej czterdziestu członków towarzystwa odpowiada za wasz głupi okręt. Nikt dlatego nie umrze z głodu, ani nie zmarznie. Biorę przecież pod uwagę wszelkie ryzyko. Powtarzam: wszelkie ryzyko!" Tak mu dogadywał! Hh! George zanadto był wzburzony, aby odpowiedzieć, bełkotał tylko niewyraźnie, machając rękami. Tamten, grzejąc plecy przed ogniem, ciągnął dalej: „Handel miazgą drzewną o dwa palce od bankructwa. Fabryka przetworów owocowych na ostatnich nogach. Boisz się, ale przecież prawa są stworzone tylko na to, aby straszyć głupców". Przedstawił mu, jak bezpiecznie mogą zatopić statek. Stawki asekuracyjne były płacone od tyłu, tyłu lat. Nawet cień podejrzenia nie może paść na nich. Zresztą, do diabła, każdy okręt musi mieć wreszcie jakiś koniec.

„Ja się nie boję, ale jestem oburzony", odrzekł na to George Dunbar.

Cloete kipiał od wewnętrznej złości. Chodziło o szczęście całego jego życia — o jego szczęście! Ciągnął dalej dobrotliwie: „Twoja żona jeszcze bardziej się oburzy, gdy będziesz zmuszony zażądać od niej, aby się wyprowadziła z waszej ślicznej willi i zamieszkała w dwóch pokoikach od podwórza — może jeszcze z dziećmi".

George nie miał dzieci. Żonaty od paru lat, pragnął bardzo mieć jedno lub dwoje. Rozdrażniło go to jeszcze bardziej. Zaczął opowiadać, że pragnie im pozostawić imię uczciwego ojca i tak dalej. Cloete skrzywił się: „Pośpiesz się, nim przyjdą na świat, a będą miały bogatego ojca. Nikogo nie pokrzywdzisz i to jest dobrą stroną całej tej sprawy".

(D. c. n.).

Lamón Gomez de la Serna

CYRK (El circo equestre)

Ramón Gomez de la Serna jest niewątpliwie jednym z najciekawszych pisarzy „Młodej Hiszpanji”. Zaczął pisać jako siedemnastoletni chłopak, wzbudzając postrach i zgorszenie satyrycznymi „greguerias”. Klerykali, konserwatyści, militaryści, oraz stowarzyszenia sług katolickich, pań przełożonych i ligi cnotliwych matron hiszpańskich ruszyły w sfornym oryndku na poskromienie wywrotowca i wszetecznika. Grożono mu banicją... ba nawet klątwą kościelną. Redakcje pism madryckich, w których współpracował, odbierały setki listów z „wymówieniem prenumeraty”.

Mimo to uparty Ramón pióra nie złażał. Naogół na pisanie ma mało czasu, przyduje bowiem honorowo na różnych nieprawdopodobnych bankietach artystycznych, na które zapraszani są na przykład tylko ludzie, noszący imię Ramón, artyści cyrkowi, lub samobójcy.

W chwilach wolnych od zajęć powstały książki: „Czarna i biała wdowa”, „Próby”, „Pół - istnienia”, „Torero”, „El Incongruente”, „Cyrk” i t. d. Obecnie Ramón zajęty jest od rana do wieczora sportem. Kto wie? — może wyrosnie nawet na dyktatora sportowego Hiszpanji? Po epopei cyrkowej, przyszła kolej na boks, a obecnie na walkę byków. Przedmowę do „Cyrku” napisali kłowni paryscy, przedmowę do książki „Corrida”, będącej czemś w rodzaju „Les Bêtes” Montherlant’a, mają napisać słynni torreadorzy hiszpańscy. Fragmenty swej pracy odczytywał publiczności cyrkowej sam autor. Na arenach cyrków w Madrycie, Seville, Buenos - Aires, czy Rio de Janeiro nie ustawiono mu coby katedr profesorskich. Wystarczył trapez. Napowietrzny ekwilibrysta myśli, zawieszony między niebem a ziemią, żonglował w świetle lamp łukowych ostrymi sztyletami swych zdań. Wówczas kłowni, woltyżerki, amazonki, ludźwiężę, skoczki, iluzjoniści, magicy i syreny, nie mówiąc już o małpach i łokach, bili brawo! „Ad multos annos - drogi bracie i świetnej, coraz to świetniejszej kariery” (przypisek tłumacza).

KLOWNI

„Tis meat and drink to me to sec e clown”

Kłown jest duszą cyrku, a może i duszą życia. Gdy myślę o śmierci, pocieszam się natychmiast, uświadamiając sobie, że po mym zgonie nadal będą trwały błazeństwa kłownów.

Kłowni tak są podobni do siebie, tak identyczni, że patrząc na nich, mamy złudzenie, że istnieją wiecznie ci sami, dwaj, lub trzech kłowni nieśmiertelni, którzy rozmieszali publiczność przed wiekami, a

utrzymawszy się przy życiu, dzięki profesji optymizmu, śmieją się jeszcze teraz ciągle — okropnie starzy, bezzębni, wysuszeni jak mumje — lecz nieśmiertelni.

Kłown podobny jest do człowieka, który płacze, lecz trzeba zważyć, że podobny jest również do człowieka, który się śmieje, co zresztą nie zaprzecza wcale możliwości jego szczerych łez, ponieważ kłown może płakać z radości. Oczy mają zwykle napuchnięte, jakby od płaczu. Kłown, wychodząc na arenę, zataja swe oczy — widocznie nie chce, aby je widziano.

*

Kłowni mają dlatego wygląd ludzi smutnych, że kobiety są wobec nich zupełnie obojętne. Kłown pada pastwą kobiecych żartów i kpin — a wszak najwyższą tragedją dla mężczyzny jest, gdy kobieta nie chce go brać na serjo. Mają tylko jedną pociechę: miłość, którą się darzą wzajemnie—o, bo kłowni kochają się bardzo, jako nieszczęśliwi bracia areny! Po godzinach szampańskiej, „zwarcowanej” wesołości w cyrku — włączają się długo w noc po ciemnych, bezludnych ulicach przedmieścia.

*

Kłowni znają jeszcze inną tragedję osobistą. Nos ich, tłuczony pałką, lub maczugą, pozostaje zawsze czerwony. Wychodząc z cyrku, niosą na twarzy bolesny stygmat czerwieni. Dlatego w oczach ich jest tyle wstydu.

*

Dowcipy i błazeństwa rodzą się spontanicznie. Jeśli nie są arcydoskonałe, to są jednak w swoim rodzaju jedyne. „Ciebie tutaj niema” — mówi jeden kłown do drugiego kłowna — i zaraz ci tego dowiodę przy pomocy filozofji...

„Jakiej znów Zofji? — pyta kłown drugi, gładząc spódniczkę na kredowych kolanach. Znam tylko jedną Zofję, moją narzeczoną!

Dobrze już, dobrze, ty stary idjoto — mówi pierwszy, przerywając dyskurs. — Czy jesteś w Seville?

Nie!

Czy jesteś w Valladolid?

Nie!

A więc jeśli nie jesteś ani w Seville, ani w Valladolid, to znaczy, że jesteś gdzieindziej.

Tak!

Jeśli jesteś gdzieindziej, to znaczy, że cię tutaj niema!

Drugi kłown pogrąża się w głęboką zadumę, lecz później nagle wali pierwszego z całej siły w twarz!

No i dlaczegoś mnie uderzył — pyta kłown pierwszy, podnosząc głowę z piasku.

— Ha, ha, ha, eh, eh, eh, hi, hi, hi — abyś się przekonał — hi, hi, hi, — abyś się przekonał, że jednak tutaj jestem”.

*

Błazeństwo często we wszystkich cyrkach świata powtarzane nosi nazwę: pogrzeb kłowna. Kłown został zabity przez drugiego kłowna wystrzałem z pistoletu. Nie przypominam sobie równie smutnego pogrzebu. Żartowano sobie i śmiano się z tego, co się stało, a to, co się stało, pełne było wszak powagi śmierci.

Widzowie śmieli się do rozpuku, choć scena przedstawiała bardzo żalony widok. Na marach leżał kłown bardzo biały i bardzo „martwy”. Kilka świec woskowych i kłown - morderca, z wieńcem, przewieszonym przez ramię. Prawdziwy pogrzeb, po którym nastąpiło zresztą momentalne zmartwychwstanie.

Nigdy kontrast życia i śmierci nie zaznaczył się tak okrutnie, jak w tej pantominie, którąbym nazwał „Hamletem cyrku”.

ARTYSTKI CYRKOWE

Tancerki, tańczące na drucie, sypiają zwykle na samej krawędzi łózka. Śni się im, że przechodzą na linie przestrzeń, dzielącą Amerykę od Europy i Europę od Ameryki.

*

Artystki cyrkowe zwykle wychodzą za mąż. Mężczyznom, którzy je poślubiają, przynoszą dużo szczęścia w darze. Nikt by nie poznał, że podobne matrony i damy mogły kiedyś występować na arenie!

Jedynie, gdy dziecko poprosi: „Podnieś mnie mamusiu — weź mnie na ręce — wówczas zdradzają się mimowoli, podrzucając ciałkiem, niby piłką ku górze!

*

Plat du jour: Cuisses de femmes nues” Taki napis widnieje często przy wejściu do cyrku. Prawdopodobnie wszyscy mężczyźni chcieliby się nasycić potrawami z tego wyborczego półmiska: młodzieniec, który jeszcze niczego nie kosztował i stary smakosz, delektujący się ulubionym przysmakiem. Och! cóż za piękny widok! Rozpuśtnik złapał tancerkę za kostkę u nogi i podnosi do ust, pokazując wszem wobec i każdemu z osobna swój królewski kęsek!

*

Gdy artystki cyrkowe przechodzą ulicą, nie wydają się wcale artystkami cyrkowymi. Powinny pokazywać swoje nogi, wskakiwać na ławki ogrodów publicznych, podrzucać ku górze parasolki. Życie prywatne artystek cyrkowych jest ponure i smutne. Częstokroć widzimy z głębokim rozczarowaniem, że wychodzą ubrane w strój żalobny stamtąd, gdzie się nam ukazywały w kolorach bardzo jaskrawych.

Z upoważnienia autora przełożył z hiszpańskiego

Edward Boyé